

# Dzikie myśli lingwistyczne

*Czasem miewam dzikie myśli*

Okazuje się, że język może być gatunkiem ginącym. Jak można przeczytać w artykule o ginących kulturach w pierwszej polskiej edycji „National Geographic”, na Ziemi funkcjonowało - od zarania dziejów - 10 tysięcy języków. Do czasów obecnych zostało 6 tysięcy. W ciągu najbliższych stu lat ma zniknąć połowa języków znanych dzisiaj. Te, które nie znikną, będą nosić zapewne głębokie blizny języków dominujących. Mówiąc ściślej, języka dominującego, którym w dzisiejszym świecie stał się angielski. Oczywiście nie żyjemy na wyizolowanych wyspach i wzajemne wpływy języków są sprawą oczywistą - takich śladów w języku polskim jest sporo i na ich podstawie można nawet badać historię języka, wydarzeń, zabytków. Trudno jednak orzec, jakie blizny będzie nosił nasz rodzimy język po tej nawałnicy, jaka przetacza się obecnie - od bardziej swojskiego video, po jednak egzotycznego „key account managera” czy innego „brand manager assistanta”. Nie będziemy jednak tutaj na razie rozводить się nad niedolami polszczyzny gwałconej przez Wuję Sama za cichym społecznym przyzwoleniem.

Rzecz w czym innym: często mam wrażenie, że nawet jeśli poruszam się w języku znanym mi od dzieciństwa, w istocie tkwię na egzotycznej wyspie. Pewnie też nieraz mieliście to wrażenie. Nie chodzi jednak o nieporozumienia między dwojgiem ludzi czy problemy osobiste. Chodzi o dyskurs (przepraszam!) publiczny i o sprawach publicznych. To są właśnie takie sytuacje, kiedy mówimy: ten las jest absolutnie niepowtarzalny, nie da się go w żaden sposób wycenić, nie da się go odtworzyć - napotykać na mur niezrozumienia: Jak to nie da się go wycenić? Wszystko ma swoją cenę, trzeba tylko przemnożyć „pi” przez kilka pierwiastków albo policzyć drzewa. Dyktat tego ostatniego żargonu jest tak powszechny, że mamy wręcz do czynienia z terrorem dyskursu czysto ekonomicznego: przyrodnicy czują się w - obowiązku udowodnić, że utrata takiego i takiego ekosystemu będzie miała takie to a takie koszty, policzalne w pieniądzu. I oczywiście najczęściej wyliczenia tego rodzaju są słuszne i obrazowe. Problem w tym, że nie umiem wycenić mojego przywiązania do ziemi, na której się urodziłam, gdzie się wychowałam i gdzie mieszkam. Nie wiedziałabym, ile należy zażądać za zniszczenie lasu, który stworzył moją wyobraźnię. Nie wiem, ile kosztuje głęboki spokój, który czuje się po dwóch, trzech godzinach spędzonych w lesie. Nie wiem też, jak wycenić ledwo uchwytną wspólnotę między żywymi i umarłymi tej ziemi, z którą czuję związek. Nie umiem myśleć o tym w kategoriach „zasobów”. To znaczy pewnie umiem, bo tego uczono mnie w szkole, .ale wiem, że to subtelna forma kłamstwa. Należę do aborygenów (przynajmniej w jednej nitce splecionej tkaniny rodzinnych dziejów i pradziejów) Karpat. Losy mojej rodziny, jej nazwisko, szlaki wędrówek odzwierciedlają typowe dzieje przedziwnej mieszanki Europy Środkowo-Wschodniej. I nie wiem, jak miałabym to wycenić, tak, żeby to była dobra cena na „wspólnym”, europejskim rynku. Nie dlatego nie wiem, że nikt mnie tego nie nauczył (wręcz przeciwnie, pracują nad tym całe rzesze specjalistów od inżynierii społecznej, która za tzw. komunizmu nigdy nie była tak sprawną machiną, jak obecnie). Przyczyną jest raczej różnica dyskursów, tak jakby pochodziły one z całkowicie różnych światów (to nic dziwnego, w końcu język odzwierciedla strukturę wyobraźni i nasz stosunek do świata). O różnicy tej pisze Nadine Gordimer w powieści „Nikt ze mną nie pójdzie”:

*„Gdzieś niedaleko zachodniej granicy ludzie z przesiedlonego plemienia, którzy uzyskali pozwolenia, by raz na rok wracać na swe dawne ziemie i opiekować się grobami przodków, któregoś razu nie odjechali po zmroku, lecz przystąpili do budowy chat. (...)”*

*Nietrudno było zgadnąć, że taki kult przodków to zabieg polityczny wymyślony przez chytrych*

*chłopów, znacznie lepszy, niż najbardziej racjonalne pomysły prawnicze; były jednak chwile, gdy słuchając przedstawiciela przesiedlonych czuła niepewność i zmieszanie - nie w nich, a właśnie w sobie; czy słuszność ich praw nie zasadza się gdzieś poza walką polityczną, poza negowaniem ustaw wprowadzanych przez rządy, bo te powstają i upadają, ale w ciągłości życia pod ziemią i nad ziemią. Czy w ogóle liczą się jeszcze jakieś inne prawa? Wojny, stoczone o kawałek ziemi, proklamacje wytyczenia granic, umowy sprzedaży, spisane na papierze? W końcu o co walczy ona sama i cała Fundacja, jeśli nie o to prawo? Tylko że nie brzmiałoby to zbyt przekonująco przed sądem - chłopskiego mistycyzmu nie da się przełożyć na język prawniczy - na to jest zbyt dobry”.*

I puenta, jak najbardziej stąd, tutejsza. Jadąc kiedyś z Gdyni na Hel brudnym, wlokącym się niemiłosiernie pociągiem, usłyszałam nagle język, który brzmiał nieziemsko. Rozmawiały ze sobą cztery starsze Kaszubki. Zrozumiałam ledwie kilka słów, dzięki nagle odkopanym z głębin niewiedzy szczątkowym informacjom z dialektologii. A jednak muzyka tych opowieści, tego języka, który pozostał zamknięty dla mnie przysłuchującej się ukradkiem zza oparcia, brzmiał jak najpiękniejsza oda do radości. Bo lepiej nauczyć się języka, którego jeszcze się nie zna, niż poddać się terrorowi języka, który podobno znają „wszyscy”.

**Anna Nacher**